

MÓJ PROGRAM

przedstawia

RYSZARDA HANIN

15 X godz. 20.20 p. 1 TV

RTV: — Jaka jest formuła tego programu, co w nim zobaczymy i czy można traktować go jako Pani credo artystyczne?

R.H.: — Trudno mi cokolwiek powiedzieć o formule tych programów, tak się bowiem złożyło, że nie mogłam żadnego z nich obejrzeć. Może powiem, jak doszło do powstania „mój” programu. Przed rokiem chyba otrzymałam z TV propozycję wystąpienia w czymś takim. Przyznam, że nie bardzo wiedziałam, co z tym fantem zrobić. Nie chciałam wracać do starych ról — po ekshumowaniu tracą swój klimat i temperaturę. Mogłam wybrać parę i połączyć je jakimś omówieniem, ale z kolei nie lubię mówić o sobie. Mówienie o sobie jest rzeczą nie najprzyjemniejszą, a poza tym ma kilka piętér grania. Chce się przecież — stojąc przed milionową widownią — mówić na miarę jej zapotrzebowań, a jednocześnie zgodnie ze swoim sumieniem. Myślę, że nie powiedziałabym wtedy prawdy, a gdyby... to ani publiczność, ani ja sama — jak sądzę, — na całą prawdę nie mielibyśmy ochoty. Postanowiłam przygotować coś nowego. Znalazłam dwa teksty, które łączy wspólny mianownik mimo absolutnie odmiennych poetek: melodramat Cocteau i humoreskę Różewicza.

Na pewno nie należy traktować tego programu jako mojego credo. Trzeba mieć wiele wiary w siebie i dobrego samopoczucia, żeby samemu przystąpić do formułowania własnego credo. Co innego, gdy aktorowi reżyser powierza rolę na miarę jego tęsknot artystycznych, to go utwierdza w wierze w swoje możliwości.

Tak bywa w życiu aktora, że rzadko ma szansę wyrażenia całego siebie. Chyba tylko raz miałam okazję znaleźć rolę, w którą aż tak bardzo zaangażowałam się emocjonalnie i prawie się z nią utożsamiałam. Były to „Radosne dni” Becketta — sztuka, która szła chyba dwa lata temu w drugim programie, równoległe z jakimś ważnym meczem i prawie nie zauważona. Jedyna, bardzo miła recenzja ukazała się w „RTV”. My, aktorzy, jesteśmy zazwyczaj okazani na „prace zleczone”: one tworzą naszą sylwetkę artystyczną. Nie zależy nam od

siebie, nie zawsze mówimy wtedy, gdy istotnie mamy coś do powiedzenia.

RTV: — Czy nie sądzi Pani, że w ostatnim czasie jakoś Panią „zasznuflakowano”?

R.H.: — Myśli pan o rolach matek? Na pewno tak. Robię jednak w swojej uczciwości co mogę: staram się przeprowadzać poważną selekcję otrzymywanych propozycji. Jeżeli jednak przyjmuję często role matek, to dlatego, że każda z nich jest inna. Matka to znak, kobieta w pewnym wieku jest matką, a sprawy ich są tak różne, jak wiele jest kobiet i matek. Naturalnie przyjmuję chętnie i propozycje „bezdzietne”.

RTV: — Jaki jest Pani stosunek do grania w Telewizji?

R.H.: — Nie traktuję pracy w TV czy filmie jako „produkcji ubocznej”. Wiadomo, że niektóre role lepiej sprawdzają się przed kamerą niż na scenie. Zresztą lubię tę pracę mimo pośpiechu, bałaganu i tego, że rola nigdy nie jest „zapięta na ostatni guzik”. Telewizja dała mi też szansę zagrania kilku ról, których nigdy nie zagralabym w teatrze. W TV zapoczątkowałam role kobiet o wiele starszych ode mnie „w rzeczywistości”. Jestem za to wdzięczna.

RTV: — Jaka była Pani pierwsza rola przed kamerą?

R.H.: — Było to ponad dziesięć lat temu: grałam osiemdziesięcioletnią staruszkę w węgierskiej komedii „Oni wiedzą, co to jest miłość”. Grało się wtedy jeszcze na żywo, a była to historia starej kobiety, w której kochał się Hektor Berlioz (grał go Aleksander Bardini). Była to ostra, charakterystyczna rola.

RTV: — A w czym zobaczymy Panią w najbliższym czasie na małym ekranie?

R.H.: — Parę tygodni temu zarejestrowano dla Teatru Faktu program zatytułowany „Procesy”. Gram świadka w procesie zbrodniarki hitlerowskiej. U Gruzy próbuję rolę niani w „Romeo i Julii” — będę w niej chciała odnaleźć inną barwę macierzyństwa. Nie chcę się powtarzać, ale uważam, że jestem tylko pracownikiem teatru, rzemieślnikiem, choć to słowo nie wiadomo dlaczego nabiera obecnie pejoratywnego charakteru. Chcę robić, jak mówi prof. Kotarbiński, dobrą robotę. Nie mówię, że mam jakieś posłannictwo, sama przed sobą wstydziłabym się do tego przyznać. Artyści, a zalicza się do nich chyba i aktorów, nie lubią swojej roboty. Boimy się jej, tchórzymy przed nią. I ja odczuwam lęk, ale i radość przed każdym nowym zadaniem. Jeśli uda mi się kogoś wzruszyć, nakłonić do myślenia czy do uśmiechu, czuję się szczęśliwa. To nagroda za wszystkie gorące chwile w tym zawodzie.

Rozm. JAN SPIEWAK